EMIGRACJA

Dlaczego wyjeżdżają i co zrobić, by wracali

Polacy wyjeżdżają na Zachód. Fala wyjazdów zdaje się być większa niż w przypadku którejkolwiek z polskich emigracji, a jej skutki mogą okazać się bardzo dotkliwe. Mogą, ale nie muszą. Myślimy o wyjazdach z kraju, mając w świadomości utrwaloną ponurą konieczność tych, którzy w XIX wieku uchodzili z kraju przed prześladowaniami i biedą. O egzystencjalnym doświadczeniu Wielkiej Emigracji tak pisała Alina Witkowska:

„Była, jaka była – pijana, hazardująca się, bijąca po pyskach, chora, biedna, zdesperowana, lekkomyślna i bezgranicznie nieszczęśliwa”.[1]

Jednak dziś świat jest inny. Można powiedzieć, że się skurczył, a wyjazdy są równie łatwe jak powroty. Nie tak trudno wyobrazić sobie Polaka pracującego za granicą dla dobra swojej ojczyzny, na przykład w instytucjach międzynarodowych lub w wielkich koncernach. Jednak – mimo wszystko – współczesne wychodźstwo musi niepokoić.

Dlaczego wyjeżdżają? Powodów jest pewnie tak wiele, jak autokarów lub tanich samolotów do Dublina, Londynu, Berlina… Nasuwa się – zwłaszcza komuś, kto dobrze pa-

---

[1] A. Witkowska, *Cześć i skandale. O emigracyjnym doświadczeniu Polaków*, Gdańsk 1997.

mięta zamknięte granice PRL-u – wytłumaczenie trywialne: wyjeżdżają, bo dziś wolno wyjechać, można też wrócić. Po tej najprostszej odpowiedzi przychodzą do głowy następne: wyjeżdżają, bo chcą lepiej zarabiać lub w ogóle mieć pracę. Wyjeżdżają, bo rozwarły się nożyce oczekiwań i poziomu spełnienia tych oczekiwań, jaki jest w stanie zaoferować Polska. To przecież jasne, że kraj, który w XX wieku doświadczył tylu zniszczeń i zaniedbań, nie może poziomem życia równać się z bogatymi krajami Zachodu. Często wyjeżdżają też dlatego, że nie wierzą w Polskę. I będą wyjeżdżać dopóty, dopóki pustosłowie i mnożenie pozornych problemów nie ustąpi miejsca zwykłemu, spokojnemu zastanowieniu nad tym, co ważne dla przyszłości kraju.

Za indywidualnymi motywami wyjazdów ukrywają się także powody natury bardziej ogólnej. Przystąpienie do Unii Europejskiej spowodowało, że zupełnie inaczej zaczęliśmy określać nas samych wobec Europy, a i Europę wobec nas. Dokonało się nagłe zbliżenie, pękły bariery, a Polacy, rzec można, szybko zastosowali unijną zasadę swobodnego osiedlania się i podejmowania pracy w krajach członkowskich. Proces ten zbiegł się w czasie z wkroczeniem na rynek pracy nowego, niezwykle licznego pokolenia Polaków. I wreszcie – co rzadko bierzemy pod uwagę w dyskusjach o polskiej emigracji – niektóre kraje Zachodu, pod wrażeniem skutków fundamentalizmu islamskiego, zmieniają dziś swoją politykę migracyjną. Niedawno ambasador Wielkiej Brytanii złośliwie zauważył, że jego kraj stworzył więcej miejsc pracy dla Polaków niż Polska. Warto zauważyć, że taka polityka Londynu jest dla jej autorów opłacalna ekonomicznie i korzystna ze względów bezpieczeństwa.

Zamiast jednak wgłębiać się w intencje rządu brytyjskiego, warto zastanowić się nad nauką, jaka z żartu ambasadora wynika dla Polski. Dyplomata w oryginalny sposób uświadomił nam, że nasz kraj uporczywie nie wykorzystuje

swojej szansy na dokonanie gospodarczego i cywilizacyjnego skoku. Dlaczego tak się dzieje?

Wśród wielu kryzysów, które dotknęły nas w ciągu ostatnich kilkunastu lat, dwa są, moim zdaniem, najpoważniejsze. Pierwszy to degrengolada klasy politycznej, brak przywództwa i brak otwartości w dialogu politycznym. Uwaga ta dotyczy nie jednej, ale wielu stron polskiej „gry" politycznej. Przypominają się słowa Jana Pawła II z Jego warszawskiej homilii wygłoszonej w 1991 roku (daj Boże, aby te czasy, o których mówił Papież, nie wróciły):

„Nie powiedzielibyśmy całej prawdy, gdyby stwierdzić, że były to tylko klęski polityczne, aż do utraty niepodległości. Były to również klęski moralne: upadek moralności w czasach saskich, zatrata wrażliwości na dobro wspólne, aż do karygodnych przestępstw przeciw własnej Ojczyźnie".

Ten rozkład – wciąż mam nadzieję, że uda się go powstrzymać – idzie w parze z drugim kryzysem, równie groźnym w skutkach, a zachodzącym w świecie mediów. Warto w tej sprawie oddać głos Ryszardowi Kapuścińskiemu:

„Zamiast pracować na rzecz rozszerzania naszych horyzontów myślowych i pojęciowych o to wszystko, co właśnie wypracowuje świat, umacniamy naszą prowincjonalność, ekscytujemy się głównie tym, co się dzieje w wąskich kręgach politycznych. One są największą ekscytacją naszej kultury medialnej. W systemie komunistycznym życie polityczne było zamknięte, a więc nudne i przewidywalne. Dziś media eksploatują trzeciorzędne gry polityczne. Do tego dochodzi traktowanie demokracji jako pełnej wolności, a nie jako zobowiązania czy powinności".[2]

---

[2] *Zawód dziennikarz*, z Ryszardem Kapuścińskim rozmawiają Katarzyna Janowska i Piotr Mucharski, „Tygodnik Powszechny" z 3 czerwca 2001, dodatek „Kontrapunkt".

Media kreują dziś katastroficzny obraz kraju, niezgodny ze stanem faktycznym. Myślę, że ludzie wyjeżdżają z Polski również ze względu na ten codzienny zgiełk – o teczkach, aferach, układzie, Samoobronie, korupcji, zawłaszczaniu, służbach. Zagłusza on wszystkie mniej przerażająco brzmiące tony. Obraz Polski wyłaniający się z komentarzy publicystów i medialnych wyznań czołowych polityków jest – delikatnie mówiąc – fatalny. A skoro tak, to co nas tu trzyma, po co tu żyć?

Każdy chciałby się wyrwać z tej obciążającej, depresyjnej atmosfery i głęboko zaczerpnąć powietrza. Polacy czynią to w różny sposób, na przykład angażując się w kibicowanie piłkarzom w trakcie mistrzostw świata (choć niestety zapał futbolistów nijak się ma do spontaniczności dopingu). Inni szukają ucieczki w poznawanej na nowo i niejako odzyskiwanej ojczystej historii. Niektórzy z nich angażują się w formułowanie – skądinąd bardzo mi bliskiej – polityki historycznej państwa. Jeszcze inni wybierają emigrację wewnętrzną, manifestacyjny brak zainteresowania dla spraw publicznych. A wielu po prostu kupuje bilety…

Cóż zatem począć, by Polacy przestali postrzegać swój kraj jako miejsce, z którego trzeba wyjechać?

W obliczu nowej Wielkiej Emigracji trzeba zrobić coś nieszablonowego, zastosować nową wersję starej maksymy lekarskiej, każącej walczyć z przyczyną, a nie ze skutkiem. W tym przypadku trzeba zwalczać nie tyle przyczynę, co skutek. Przyczyny wyjazdów, o których pisałem wyżej, nie znikną jak za dotknięciem różdżki; ważniejsze, żeby emigranci chcieli i mogli wracać.

Naszą wrocławską operację medialną adresowaną do polskich emigrantów zatytułowaliśmy: WRACAJCIE! Nie mówiliśmy: „Nie wyjeżdżajcie”, choć, oczywiście, wolelibyśmy, aby nikt ojczyzny nie opuszczał.

To dobrze, iż ludzie mogą (podkreślam: mogą!) wyjeżdżać. Bynajmniej nie tęsknię za czasami, kiedy posiadanie paszportu było nie prawem, ale przywilejem udzielanym przez aparat bezpieczeństwa. Jestem wielkim orędownikiem indywidualnego prawa do podejmowania swobodnych decyzji i zaprzysięgłym zwolennikiem wolnej Europy. Jednak bardzo mi przykro za każdym razem, gdy ktoś z Polski wyjeżdża, bo wolałbym, aby tutaj mógł budować swoją przyszłość, dla siebie i dla swojej rodziny.

Powinniśmy zrobić możliwie wiele, by powrotów było jak najwięcej, a jeśli to się nam powiedzie, równocześnie powstrzymamy emigrację. Fala wyjazdów osłabnie za jakiś czas sama, choć jeszcze – niestety – nie osiągnęła swego apogeum. Rynki pracy na Zachodzie będą się nasycać, zwłaszcza po otwarciu ich dla Rumunów i Bułgarów. Zatem i dziś, i jutro najistotniejsze jest, abyśmy skutecznie przekonywali do powrotów. Uda nam się to, jeśli będziemy w tych zachętach przekonujący; jeśli Polska będzie się rozwijać szybciej i sensowniej; jeśli do tęsknoty emigrantów za krajem dodamy więcej wiary w sens wspólnej przyszłości pomiędzy Odrą i Bugiem; jeśli pokażemy, że przynajmniej w niektórych częściach starego kraju sens dominuje nad nonsensem.

Niezwykle istotne jest usuwanie barier blokujących rozwój przedsiębiorczości. By pieniądze zarobione tam mogły „pracować” tutaj.

Jakiś czas temu do Londynu wyjechał Krzysztof, który wcześniej częstokroć współpracował z kierowanym przeze mnie urzędem, robiąc zdjęcia. W czasie krótkich wizyt we Wrocławiu opowiadał, że już po pół roku założył własną firmę, zaś po niecałym roku ma duży portfel zleceń, zapewne nieźle płatnych, skoro wynajmuje duży dom. Historia, jakich wiele, pokazująca tę banalną prawdę, że rynek w Wielkiej Brytanii jest bogatszy niż w Polsce, że więcej tam nie-

ruchomości do wynajęcia i panuje lepsze nastawienie do przedsiębiorczości. Cóż właściwie można powiedzieć więcej?

Otóż chciałbym powiedzieć znacznie więcej! Nie tylko dlatego, że podnosiłem larum, zanim ktokolwiek inny zauważył problem Nowej Emigracji, i od dawna starałem się mówić bardzo dobitnie, iż obowiązkiem władz publicznych, w tym moim, jest stwarzanie szans rozwojowych Polakom w Polsce, a nie w Irlandii. Nie dla wątpliwej satysfakcji autora spełnionych proroctw, powtarzającego: „A nie mówiłem!”, zabieram dziś głos w sprawie emigracji. Robię tak dlatego, że we wszystkich kwestiach, które przyczyniły się do tego, że Krzysztof został w Londynie, możemy stosunkowo prędko odnotować znaczny postęp: możemy stać się bogatszym rynkiem, możemy zwiększyć podaż nieruchomości, możemy bardziej sprzyjać przedsiębiorczości. I dużej, i średniej, i małej.

Życzę Krzysztofowi jak najlepiej. Niewykluczone, że spotkamy się kiedyś w Londynie, a on będzie ojcem szczęśliwej rodziny (wyjechał tam ze swoją dziewczyną). Kiedyś jednak – jestem o tym przeświadczony – wróci. Prędzej czy później. Między innymi z powodów, o których powiem, posługując się anegdotą:

Mój dwunastoletni (pewnie by zaprotestował: „Prawie trzynastoletni!”) syn nie ogląda telewizji. Nie dlatego, że nie chce, lecz po prostu nie ma do niej dostępu, ściślej mówiąc: podobnie jak cała nasza rodzina. W zamian za to dzieci są właścicielami całkiem pokaźnej kolekcji filmów DVD: dziecięcych, młodzieżowych i familijnych, ze wszystkimi najnowszymi hitami włącznie (*Władca Pierścieni*, *Shrek*, *Harry Potter* etc.). Jakiś czas temu zadałem synowi pytanie: „Który film jest najlepszy?”. On na to: „*Czterej pancerni*”! Bez chwili zastanowienia! Trochę mi wstyd (nie za Joachi-

ma, ale za mnie, bo zakupy to moja specjalność), ale cóż... Puenty anegdoty wykładać nie muszę.

Krzysiu, myślę, że wrócisz do Polski i do Wrocławia. Bo kto z Tobą w Londynie porozmawia o *Czterech pancernych*? A to przecież drobiazg. Pomyśl o tej więzi, która wynika ze wspólnych obyczajów, języka, krajobrazu, wspólnych lektur i filmów… Bardzo chciałbym Ci pomóc w powrocie, sprawić, żeby oprócz *Pancernych* znalazły się inne ku temu powody, w tym gospodarcze.

Trzeba troszczyć się i o polskość, i o poczucie sensu, i – co nie mniej ważne – rozwijać przedsiębiorczość. O polskości piszę najmniej, bo sądzę, że inni czynią to lepiej. Ja sam jestem zawsze tym tematem na tyle wzruszony i zmieszany, że uciekam od bezpośrednich, dłuższych wypowiedzi. Trudno jest bowiem mówić o czymś, co tkwi mocno pod powiekami zamkniętych oczu siłą wspomnień z dzieciństwa i siłą tysiącletniej tradycji. O poczuciu sensu potrafię powiedzieć więcej. Jest to w gruncie rzeczy postulat, aby zajmować się rzeczywistością. Rzeczywistymi, istotnymi problemami, które dotyczą wszystkich.

Są to:

- praca;
- jakość życia – mieszkania, komunikacja, edukacja, kultura, rozrywka;
- godziwe zarobki.

O rynku i przedsiębiorczości, które są ze sobą związane, mówię równie chętnie. Bo kiedy Krzysztof, bohater kilku ostatnich akapitów, będzie się kiedyś zastanawiać nad powrotem, to skrupulatnie przeliczy, jaką „lekkość” życia zafunduje mu zarówno „infrastruktura”, otoczenie gospodarki, jak i głębokość i zamożność rynku. Zamożność Polski będzie zaś związana z ilością ludzi pracujących, z wysokością ich zarobków i z brakiem (bądź obecnością) blokad dla rozwoju przedsiębiorczości.

Przy okazji tak chętnie dziś podejmowanego bilansu polskich zysków i strat warto zatem postawić pytanie: kiedy, po 1990 roku, zamordowano przedsiębiorczość w Polsce i kto to zrobił? Głównym podejrzanym jest, moim zdaniem, obywatel Przepis, groźny maniak próbujący regulować każde, nawet najmniejsze pole ludzkiej aktywności. Mówiąc poważnie, nad polską rzeczywistością ciąży dyktat przepisu, głównie w obszarze administracyjnym.

W mojej pracy borykam się nieustannie z wykładnią, że dozwolone jest tylko to, co uregulowane prawnie, czyli określone przepisem. To, niestety, nie żart, choć czasem nie rozumieją tego także prawnicy, nawet ci zajmujący się sprawami gospodarczymi. Jakby ktoś złośliwie odwrócił pragmatyczną zasadę, że co nie jest zakazane, jest dozwolone. Zdrowy rozsądek (który dla mnie, logika z wykształcenia, jest kategorią szczególnie bliską) czy idea stojąca za regulacjami prawnymi nie mają żadnego znaczenia. Decyduje sucha litera prawnego zapisu!

Niedawno prasę obiegła informacja o pewnym piekarzu. Waldemar Gronowski z Legnicy zatrudniał w swej piekarni kilkunastu pracowników. Codziennie rozdawał ubogim kilkaset bochenków chleba. Z jego pomocy korzystały też domy dziecka, szkolne świetlice, przykościelna stołówka charytatywna. W 2004 roku legnicki magistrat uhonorował Gronowskiego tytułem Sponsora Roku. I wtedy obudził się fiskus. Naliczył piekarzowi „należny” podatek VAT i podatek dochodowy od bochenków, które rozdał. Setki tysięcy złotych. Wszczął liczne kontrole. Stali klienci piekarni wystraszyli się. Obroty spadły na tyle, że Gronowski musiał sprzedać piekarnię. Jest na utrzymaniu żony. Wciąż grożą mu „zaległe” podatki.

Przepisy w Polsce są tak skonstruowane, że producentowi czy sklepowi lepiej jest żywność wyrzucić na śmietnik, niż przekazać potrzebującym. Nikt nie musi się rozliczać

z żywności wyrzuconej lub spalonej... Głupi przepis wyklucza pomoc.

Tymczasem w niektórych krajach Unii Europejskiej sklepikarz oddający np. lekko uszkodzoną konserwę lub żywność z kończącym się terminem ważności jest traktowany tak, jakby jedzenie niszczył.

Państwo jest przeregulowane i koniecznie trzeba z tym skończyć, przeciąć ten polski węzeł ostrym cięciem, dokonać prawnej deregulacji Polski. Jakimi absurdami skutkuje na co dzień przeregulowanie, nietrudno sobie wyobrazić. Chociaż – trudno, nawet bardzo trudno! Dyktatura przepisu doprowadza do sytuacji, które mogłyby uchodzić za wyjęte z teatru absurdu.

Opowiem o jednym zabawnym epizodzie. Sprawa dotyczyła przyznawania funduszy europejskich. Wymyślono jakiś czas temu, że część pieniędzy europejskich będzie dzielona nie regionalnie, a centralnie. Słusznie wymyślono, więcej powiem: bardzo słusznie! Owe pieniądze miały być bowiem przeznaczone m.in. na drogi krajowe, a to ważne niesłychanie, bowiem inne przepisy zabraniają finansowania ich na pewnych odcinkach (na przykład biegnących przez Wrocław) z funduszy krajowych. Kiedy więc pojawił się ten miły wyjątek, od razu przygotowaliśmy odpowiedni projekt. Prawdę mówiąc, nie jeden, lecz kilka projektów. Autorzy przepisów potrafią jednak sprytnie zastawiać pułapki. Bo jak rozpoznać drogę krajową? Otóż to droga nie byle jaka, tylko do rejestru dróg krajowych wpisana! Decyzją samego ministra. A skoro w instrukcji jest napisane, że droga do remontu, za unijne pieniądze, ma być krajowa, to czy ona ma być krajowa przed remontem, czy ma się stać krajową (czyli zarejestrowaną) dopiero w efekcie remontu?

Pan minister spojrzał na nasz wniosek i powiedział: „Pieniądze się przyzna, jak droga w rejestrze będzie!”. No to my bach, na kolana i prosić: „Dobrodzieju, wpiszcie naszą dro-

gę do rejestru krajowego! Należy się jej! Od lat jako tranzytowa służy, krajowe pojazdy po niej jeżdżą, nie najlepiej wygląda, ale bez wątpienia do rejestru się nada!”. Wpisali, odetchnęliśmy.

Nie jest jednak prosto na świecie. Pojawił się nowy minister i uznał, że w przepisie wymyślonym przez poprzednika mowa, owszem, o drogach krajowych, ale nie w akcie, tylko w potencji. Żadna zatem droga krajowa, co już jest w rejestrze, niech mu się pod nogami nie pęta. Jego interesują tylko te drogi, co za pieniądze europejskie staną się takie piękne i ważne, że wtedy my (to znaczy pan minister) zrobimy je krajowymi. Więc drogę z rejestru musieliśmy skreślić, co samo w sobie jest żmudnym zajęciem. A następnie znów o pieniądze pokornie prosiliśmy.

Teraz zaś, ponieważ nie jestem politycznym samobójcą, dwie uwagi:

Po pierwsze – droga się buduje.

Po drugie – anegdota nie dotyczy obecnego rządu.

Jeśli ta historia kogoś rozbawiła, to była to jedyna korzyść z „nadwyżki” przepisów. Prezydent miasta, dysponując sprawną grupą urzędników, może się opierać nadmiarowi państwowych regulacji, ale polskim właścicielom przedsiębiorstw, zwłaszcza małych i średnich, jest już znacznie trudniej. Szerzej rzecz ujmując: klimat dla przedsiębiorczości nie jest w Polsce najlepszy. Dlatego fotograf Krzysztof w Polsce wolał być pracownikiem najemnym, a kiedy wyjechał do Anglii, stało się dla niego oczywiste, że musi założyć własną firmę. Chciał i musiał – bo mu się to opłacało.

Podzielę się – nie ukrywam, że z satysfakcją – pewnym wrocławskim pomysłem na wspieranie przedsiębiorczości. W 2006 roku zorganizowaliśmy FUTURALIA, czyli forum dla małych i średnich przedsiębiorców. Każdy z nich mógł odbyć kilkanaście spotkań biznesowych, porozmawiać o potencjalnych kontraktach. Potwierdzona skuteczność te-

go rodzaju spotkań (ich ideę przejęliśmy od Francuzów) jest wysoka, na dziesięć rozmów jakieś sześć lub siedem kończy się zawarciem umowy handlowej. Na naszych FUTURALIACH zgromadziliśmy ponad tysiąc firm z trzydziestu pięciu krajów świata, a wśród nich ponad dwieście z Dolnego Śląska. Skalkulowaliśmy niskie koszty uczestnictwa, dlatego w imprezie wzięli udział drobni przedsiębiorcy, których na ogół nie stać na uczestniczenie w szumnych i kosztownych targach. Bez wątpienia było to najpoważniejsze w Polsce w ostatnich kilkunastu latach przedsięwzięcie związane z małą i średnią przedsiębiorczością.

Nie będę złośliwie rozwodził się nad tym, że przyleciała na to forum minister handlu Republiki Francuskiej, a polski minister gospodarki nie. W związku z obecnością ministrów kontraktów handlowych ani nie przybywa, ani nie ubywa. Ważniejsze jest co innego: tego rodzaju instrumentów wspierania przedsiębiorczości powinniśmy szukać. Bo przedsiębiorstwa nie potrzebują ulg, ale rynku. Firmy żyją z kontraktów – warto pamiętać o tej prostej zasadzie.

I jeszcze jedna obserwacja z FUTUTRALIÓW. Otóż pracowało z nami ponad ośmiuset wolontariuszy, wrocławskich studentów. Po zakończeniu imprezy poszedłem z nimi na grilla i usłyszałem rzucone w rozmowie zdanie, które mnie wyjątkowo ucieszyło: „Super było, po studiach zakładamy własną firmę”.

Przeżyliśmy eksplozję małej i średniej przedsiębiorczości na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych oraz nie najgorszy rozwój małego i średniego biznesu na początku lat dziewięćdziesiątych. Później jednak nałożenie się dwóch czynników – kryzysu gospodarczego i nadregulacyjnej skłonności rządzących – spowodowało, że myślenie o własnym, średniej wielkości biznesie przestało być w Polsce powszechne. Stało się też niezbyt atrakcyjne, powie-

działbym: niemodne. Zmieńmy to! Z myślą o setkach fotografów, co polecieli do Londynu!

Norman Davies pisał, że Polacy i Irlandczycy mają podobny gust – lubią ziemniaki, wódkę, księży i konspirację. Może dorzucimy do wspólnych upodobań niskie podatki, rugowanie biurokracji i otwarcie na przedsiębiorczość?

Sprawa ma tak naprawdę dwa oblicza. Idzie nie tylko o usuwanie barier dla przedsiębiorczości, ale też o promowanie tego zjawiska. Cóż – i ziemniaki, i pomidory rosną lepiej dzięki nawozom i wyniszczaniu chwastów, ale w gruncie rzeczy najważniejszy jest klimat. Tak samo jest z przedsiębiorczością – i tu najważniejszy jest klimat, czyli publiczna akceptacja oraz preferencje dla przedsiębiorczości. Wprowadzane już na etapie szkolnictwa, pokazywane na przykładzie właściwych wzorców, pozwolą nam ponownie odkryć to, co świat odkrył już bardzo dawno. Tak właśnie trzeba postępować!

Wówczas Polska będzie się bardzo szybko rozwijać, Irlandczycy będą do nas chętnie przyjeżdżać, a i Polacy wrócą z Irlandii…

Rozwój przedsiębiorczości oznacza stworzenie nowych miejsc pracy. To najważniejsze wyzwanie: sprawić, aby w Polsce było dość pracy. Tak, aby ludzie mogli, ale nie musieli podejmować decyzji o wyjeździe.

Kiedy zaś pracy będzie naprawdę dużo, mogą pojawić się inne wyzwania. Kilka lat temu, na początku mojej pierwszej kadencji, postanowiłem, że stworzymy w aglomeracji wrocławskiej 100 tysięcy nowych miejsc pracy. Dziś już wiem, że program ten się powiódł. Krajowe i zagraniczne inwestycje zapowiedziane w ostatnich dwóch latach przyniosły około 40 tysięcy bezpośrednich nowych miejsc pracy. Tylko w samym Wrocławiu w ostatnich dwóch latach utworzono ponad 120 tysięcy nowych miejsc pracy. Wiemy o tym analizując wzrost wpływów z podatków od osób fizycz-

nych, który przekazywany jest do budżetu miejskiego. Każde z nowoutworzonych miejsc generować będzie kolejne, a przecież pojawią się także następni wielcy inwestorzy. Zatem przekroczyliśmy już granicę deklarowanych wcześniej 100 tysięcy nowych miejsc pracy! Ich tworzenie poprzez wspieranie przedsiębiorczości to temat bardzo ciekawy, rozwinę go jednak później.

Teraz chciałbym zwrócić uwagę na to, że firmy inwestujące w aglomeracji wrocławskiej – nie dziś i nie jutro, ale pojutrze – mogą mieć pewne problemy z rekrutacją pracowników. Podkreślam: nie dziś i nie jutro, ale w przyszłości, może nie tak bardzo odległej, jak to się może wydawać. Dotyczy to zarówno kadry inżynierskiej, jak i wykwalifikowanych techników. Przyczyna tego możliwego niedostatku specjalistów tkwi między innymi w tym, że polski system kształcenia został – mówiąc w pewnym uproszczeniu – „przestawiony” w latach dziewięćdziesiątych z zawodowo-technicznego na bardziej prawniczo-humanistyczno-ekonomiczny. Poza tym bardzo wielu spawaczy, tynkarzy, kafelkarzy, ślusarzy, inżynierów mechaników i informatyków pracuje w Europie Zachodniej i wielu jeszcze do nich dołączy. Na owo „pojutrze”, kiedy mogą pojawić się trudności w rekrutacji, musimy więc zaprosić do Wrocławia więcej ludzi. Między innymi trzeba przyciągnąć z powrotem tych, którzy wyjechali w poszukiwaniu pracy.

Dziś zajmujemy się we Wrocławiu przede wszystkim tworzeniem miejsc pracy i to chyba najlepsza reakcja na dramat masowej emigracji Polaków. Tym, którzy zastanawiają się nad wyjazdem, i tym, którzy może zaczną niebawem myśleć o powrocie, obiecujemy wystarczającą ilość pracy, wzrost jakości życia i wzrost zarobków.

Mówię do wszystkich, którzy wyjechali: rozważcie decyzję o powrocie, a myśląc o powrocie, myślcie o Wrocławiu.

Może uwierzycie w to, że warto, gdy doczytacie tę książkę do końca. Jeśli nie, to widać źle ją napisałem.